

Alfa

To miał być kolejny dzień. Jeden z wielu takich samych, kompletnie nieróżniących się od siebie pod względem porannego porządku. Jak zwykle wstałem o 6:30, by szybko zmyć z siebie pozostałości wczorajszych ekscesów. Od początku skomlał mój pies, doskonale pamiętał, że to jest pora wyjścia na spacer. Może to dzięki niemu nie spóźniałem się do pracy? Mimo że jego skomlenie i wielkie, błagające o litość oczy doprowadzały mnie często do granic wszelkiej wytrzymałości, to Jackie był wspaniałym stworzeniem, które o poranku pełniło funkcję swego budzika. Gdy, jak zawsze, wróciłem ze spaceru, czekało na mnie przygotowanie imitacji śniadania. Musiałem zjeść cokolwiek, bo bez tego nie byłem w stanie przetrwać 8 godzin, mechanicznego pakowania mrożonek, które jako pseudo żywność miały posłużyć masom zabieganych ludzi. Przed pracą obowiązkowo kawa i papieros – trzeba jakoś podnieść ciśnienie, bo w przeciwnym razie czekał mnie błogi sen i poważna rozmowa z managerem produkcji.

Nie zdążyłem nawet zapalić.

To byli Oni. Wiedziałem, że zawsze istnieje jakieś prawdopodobieństwo, że mnie znajdą i wytypują. Takowe zdarzenie musiało być wpisane w życiorys każdego z nas. Zdawali sobie jednak sprawę, że Ich głównym celem padały osoby, które wcześniej kształtowały w jakiś sposób ówczesną rzeczywistość. Tę sprzed Inwazji. Ludzie tworzący media, wybitni profesorowie, filozofowie, naukowcy. Jednostki wyznaczające kierunek, w którym miał iść świat.

Pamiętam chwile, gdy to wszystko się rozpoczęło. Razem z członkami redakcji omawialiśmy naszą wspólną, zbiorową pracę. Społeczno-naukowe pracowanie, które ukazywało losy naszego społeczeństwa z zupełnie nowej perspektywy. I właśnie wtedy wszystko się zaczęło. Nagle zero prądu, jak gdyby stała się wieczna pustka. Cóż za paradoks, być tak bezbronnym wobec świata, gdy pada elektryczność. Zawsze odnosiłem wrażenie, że pod tym względem jako ludzkość cofnęliśmy się w rozwoju i powinniśmy spaść w darwinowskiej hierarchii siły. Tak się jednak nie stało. A my, redakcja jednej z najbardziej znanych i szanowanych gazet, staliśmy w miejscu. Czekaliśmy na jakiś znak. Do tego było przyzwyczajone nasze społeczeństwo oparte na globalnej informacji. Całe życie toczyło się na internetowych portalach społecznościowych. Strzelanina w jakimś zacofanym kraju Afryki? Kwestia kilku minut i jesteś w stanie poznać większość szczegółów. Czegoś nie wiesz? Spokojnie, od tego jest internet. Zaraz się wszystkiego dowiesz i przy okazji znajdziesz długie opracowanie naukowe na ten temat.

To, jak ograniczeni staliśmy się przez ten nawał bezużytecznej informacji, idealnie objawiło się w naszej sytuacji. W normalnych warunkach przyrody nie przetrwalibyśmy kilku godzin. Jednak nie była to sytuacja związana z katastrofą naturalną lub niekompetencją inżyniera odpowiedzialnego za stację elektroenergetyczną. Stało się coś, czego nikt się nie spodziewał. Przybyli Oni, istoty na wyższym poziomie rozwoju, dla których ludzkość była pierwotnym tworem, ograniczonym przez swoją małą

rozwinętą świadomość. Gatunek ludzki skonfrontował się w końcu z istotami pozaziemskimi – i poniósł kompletną porażkę. Tak, ten gatunek, który uważał się za kosmicznych wybrańców, istoty najbardziej rozwinięte, stworzone na podobieństwo boskiego demiurga. To my, ludzkość, mieliśmy napotkać istoty pozaziemskie, to my mieliśmy je oświecić i ukazać swoją wyższość. Jednak to Oni stawiali warunki, całkowicie z resztą nas zaskakując. Obserwowali nas od dawna. Znali nasze najbardziej czułe punkty. I gdy nadszedł czas, strzelili w naszą stopę achillesową.

Oczywiście mieli swoich ludzkich agentów. Ta garstka ludzi, te mityczne 1% posiadające majątek całego świata, wiedziało o Nich od bardzo dawna. Byli już przygotowani. Czy poznali ich język? Jak się porozumiewali? Tego nie wiem do tej pory. Na pewno są ludzie, którzy wiedzą i którzy być może w domowym zaciszu próbują opisywać ten fenomen. Na pewno mieli swoich ludzi, bo po naszą redakcję przybyła grupka uzbrojonych ochroniarzy, którzy dostali wcześniej nakaz wyrobienia fałszywych dowodów tożsamości dla najważniejszych pracowników naszej gazety. Kiedyś byłem Williamem Cordis – teraz nazywam się Alfred Rand. Ale i tak mnie złapali. Już wiedzą. Stoję i patrzę na panów w gustownych garniturach. Zawsze zastanawiałem się, jak porozumiewają się z naszymi Panami, nowymi bogami? Jak nowa rasa Panów opanowała tak szybko niezliczoną ilość języków? To wszystko i tak nie ma już sensu. W momencie przybycia moich osobistych ochroniarzy stałem się kolejną ofiarą, którą trzeba złożyć ku chwale nowego bóstwa.

- Pan William Cordis? - zabrzmiał basowym głosem krępy mężczyzna.

- Nie, nazywam się Alfred Rand – odpowiedziałem ze złudną nadzieją, że może jednak uda mi się coś ugrać. Potyczka z góry skazana na porażkę, ale jak to Święty Augustyn kiedyś powiedział: „Dopóki walczysz, wciąż jesteś zwycięzcą”. Tfu, nie powinienem karmić się takimi truizmami.

Wyższy goryl o śniadej cerze wyjął z kieszeni przenośny skaner tęczówki. Posiadali całą bazę danych każdego z nas, nie mamy żadnych szans. Szybko skierował czytnik w moją stronę, wcisnął przycisk i wszystko było już jasne.

- Pójdzie Pan z nami. Jeśli będzie stawiał Pan opór, będziemy zmuszeni użyć siły. Mamy nadzieję, że nie naruszy Pan zasad Konstruktu.

Konstrukt. Ideał pokojowego społeczeństwa. Utopia, która była marzeniem każdego socjalisty. Piękna idea. Tylko szkoda, że możliwa do zrealizowania, dopiero gdy staliśmy się atrakcją dla istoty „wyższych”.

Bez słowa dałem się poprowadzić przez moim nowym towarzyszom. Dałem sygnał psu, by pozostał na swoim miejscu. Ta miła Pani spod 9 z odpowiednio zaprogramowanym chipem będzie skrzętnie dbała o mojego pupila. W końcu takie rozkazy otrzymuje jej układ nerwowy. Wychodzimy z mojego mieszkania, wsiadamy do windy. Wszędzie rozwieszono plakaty z uśmiechniętymi Paniami reklamującymi produkty. Nigdzie nie ma nieudolnego graffiti i młodzieńczych przekleństw. Świat idealny. Sami próbowaliśmy go tyle razy stworzyć, ale Oni zrobili to od razu. I, tylko aby pooglądać sobie nas jako zwierzątko w zamkniętej klatce. Teraz mogę eksperymentować do woli, cóż za paradoks. Głośnik poinformował, że znajdujemy się na parterze. Wychodzę z windy wraz z dwoma miłymi Panami. Wsiadamy do pięknego Ferrari napędzanego wodą. Kolejne wielkie marzenie spełnione, tym razem w myśl Klubu Rzymskiego. W tle gra przyjemny jazz, ale nie w stylu melancholijnego Milesa Davisa. To wzbronione. Od eksperymentowania na negatywnych emocjach są specjalne dystrykty.

Gdzie zmierzamy? - spytałem. Odpowiedzi nie dostałem. Pytanie nie spełnia warunków.

Obywatel w dystrykcie szczęścia nie może się niepokoić. Wszystko zawsze się kończy dobrze.

W drodze ku nieznanemu obserwuję przez samochodową szybę ludzi. Wszyscy uśmiechnięci od ucha do ucha, w szczycie swojej formy intelektualnej i fizycznej. Jednak w tym wszystkim brakuje tego czegoś, pewnego elementu zaskoczenia, adrenaliny. Krótko mówiąc, niedoskonałości. Ona paradoksalnie czyniła nas ciekawymi, zmuszała nas do rozwoju i redefiniowania rzeczywistości. Teraz widać to na dłoni. Jest to z pewnością ciekawy obiekt obserwacji dla nowych pomazańców boskich. Odkąd wyższa inteligencja, nazywana powszechnie kosmitami, przybyła i uczyniła z ludzi króliki doświadczalne, świat podzielony został na określone dystrykty. W zasadzie państwa ciągle istnieją, ale wszystko jest tylko iluzją, swego rodzaju sztucznym tworem, który ma utwierdzać ludzi w przekonaniu, że nic się nie zmieniło. Niewielu wie, jaka jest prawda, niewielu uniknęło wszczepienia chipów. Ludzie zostali ostatecznie podporządkowani. Lobotomia powróciła do łask, tym razem w nowoczesnej formie.

Właśnie obserwowałem zadowoloną parę wracającą prawdopodobnie z nocnej imprezy, gdy samochód gwałtownie się zatrzymał przed gmachem zarządcy dystryktu. I momentalnie wszystko stanęło w miejscu.

*

Musiło nastąpić jakieś wyładowanie elektromagnetyczne, które całkowicie zaburzyło działanie elektrotelepatii i chipów. Tylko kto mógł tego dokonać? Od dawna nie dostawałem żadnych informacji o jakimkolwiek ruchu oporu lub siłach, które próbowałyby zaburzyć współczesny porządek. Postanowiłem nie ruszać się z miejsca, czekałem. Gdybym próbował uciekać, tak czy inaczej, w końcu zostałbym pochwycony. Takie rozładowanie mogło trwać co najwyżej kilka godzin.

I wtedy to się stało. W przyciemnione okno zapukał mężczyzna. Otworzyłem zatem drzwi i ujrzałem mojego starego przyjaciela, jeszcze z czasów uniwersyteckich – Winstona Goldsteina. Gdy ja zajmowałem się naukową stroną deprecjonowanych nauk społecznych, on wzrastał jako charyzmatyczny lider i działacz. Poglądy nie grały w jego przypadku najważniejszej roli. Chciał przede wszystkim budować świadome społeczeństwo, przez co był marginalizowany przez konkretne siły polityczne. Nie spodziewałem się, że jeszcze kiedykolwiek go spotkam. Byłem przekonany, że został ostatecznie spacyfikowany, ale jak widać, spodziewać się należy wszystkiego.

-Czy to było wyładowanie?- zapytałem bez powitania.

- Ach, mój kochany William jak zawsze bystry! - odarł z szerokim uśmiechem na ustach Winston. Zawsze zastanawiałem się, co kryje się za tym pozornie jowialnym uśmiechem. Z charakteru zawsze byłem podejrzliwy i ironii doszukiwałem się wszędzie. Jednak tym razem wyczułem czystą, serdeczną szczerość – Dokładnie tak. Wyładowanie. Śledziliśmy Cię od dawna, wiemy, że często zmieniałeś miejsca zamieszkania, ale przez ostatnie kilka lat zadomowiłeś się w tym dystrykcie. I od tamtego momentu straciliśmy z Tobą kontakt. Niestety, Oni już od dawna wiedzą o nas i sumiennie likwidują każdego z nas. Dlatego też zdecydowaliśmy się na ostateczny ruch.

- zakończył enigmatycznie.

- O czym mówisz? Jaki ostateczny ruch? - zapytałem w pewien sposób zaciekawiony. Od dawna straciłem jakiekolwiek nadzieje, w zasadzie tylko czekałem na moment, w którym zostanę pochwycony. Nie mogłem patrzeć na ten sztuczny świat, nie potrafiłem żyć z przeświadczeniem, że nie ma dla mnie żadnych szans. Nawet jeśli

zdecydowałbym się na działalność na rzecz Konstrukt.

- Nie teraz. W tym momencie musimy przenieść się do innego dystryktu. Nie ma czasu na rozważania. Dowiesz się o wszystkim w swoim czasie. - odpowiedział sucho. Pociągnął mnie za ramię. - Musimy jak najszybciej dostać się do dystryktu nienawiści. Tam znajduje się nasz oddział i tam także dostaniesz dokładne informacje. Wsiadaj – wskazał na starego Forda. Ludzie się tak bardzo zmieniają. Starego przyjaciela odebrałem pozytywnie, miałem wrażenie, że ma czyste intencje. Ale coś mi nie pasowało, wyczuwałem, że bije się z myślami wewnątrz, tak jakby informacja, którą chce mi przekazać była czymś niebezpiecznym lub negatywnym.

- To niebywałe swoją drogą, że żyłeś tak długo w kompletnym odosobnieniu. Miałeś dużo szczęścia, że dopiero teraz się Tobą zajęli, zwykle takich jak ty pacyfikuje się od razu. Samotne wilki nie są w stanie poradzić sobie bez stada. Dlaczego tak nagle się odciąłeś? Przecież wiedziałeś, że jesteś dla nas bardzo ważny. - zagał Winston.

- Zawsze byłeś idealistą, przyjacielu. Tym mi po części imponowałeś – kompletnym oddaniem się konkretnym ideom, poświęceniu swojego życia bezkompromisowym działaniom. Ja nigdy tak nie potrafiłem, wewnątrz czułem bój między pragmatyzmem i idealizmem. Nie potrafiłem podejmować jednoznacznych decyzji, za każdym razem starałem się analizować każdą opcję. Patrząc na to wszystko po prostu realistycznie. A z tego punktu widzenia nasze działania nie miały żadnego sensu. - odpowiedziałem. Od dawna mnie to dręczyło, ale nie odważyłem się skontaktować. Nie chciałem niepotrzebnych konfliktów, mimo wszystko zdając sobie sprawę z faktu, że lepiej być po prostu szczerym. Oczyszczyłoby to w pewien sposób moją niemytą duszę. Jednak kompleksy i poczucie beznadziei nie pozwalały mi na podjęcie zdrowej i racjonalnej decyzji. Byłem kompletnie wypalony.

- Co za paradoks. Pewnie nawet nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo jesteś ważny dla pokoleń, którym oszczędzono prania mózgu. Jest nas niewielu, ale mamy świadomość, że ciężką pracą jesteśmy w stanie zmienić rzeczywistość. Twoje prace, artykuły i prace stanowią dzisiaj jedną z podstaw naszej obywatelskiej edukacji. Jesteś ikoną i dlatego też dzisiaj ze mną jedziesz do dystryktu nienawiści. - odparł z ironią.

- Czyli jeśli nie byłbym tak ważny, zostawilibyście mnie na pastwę losu? - złośliwie uderzyłem. Ja stałem się ikoną? Kiedyś miałem jakieś nadzieje, ale pisać przecież przestałem, gdy nadeszły zmiany. Zatem wykorzystywano moje wypociny bez mojej wiedzy i zgody. Do tego w celu, z którym od dawna się nie utożsamiałem. A teraz łaskawie dano mi „nowe” życie.

Winston jednak milczał. Znał doskonale odpowiedź, wiedział, że jestem tylko i wyłącznie narzędziem. Jednym z wielu, którymi się posługiwali Ocalali. W głuchoj ciszy zmierzaliśmy aż do granicy dystryktu szczęścia. Dopiero gdy przekroczyliśmy granicę, Goldstein zwrócił się do mnie:

- Uważaj Cordis. To nie jest sielankowe miejsce, w którym niezależnie od tego, co zrobisz, mało kto będzie zwracał na Ciebie uwagę. Tutaj na większości wykonano zupełnie inną operację. Zaszczepiono w nich ślepią nienawiść, by sprawdzić, ile dane osobniki są w stanie ze sobą wytrzymać. Gdy dojedziemy na miejsce, trzymaj się mnie i nie próbuj robić żadnych głupot. Mimo całego nihilizmu i defetyzmu wiem, że nie chcesz tracić swojego życia w głupi sposób.

Nie odpowiedziałem. Miał rację. Patrzyłem przez okna na to, co działo się w dystrykcie. Nigdy jeszcze tutaj nie byłem, w zasadzie odwiedziłem tylko trzy dystrykty. Byłem tam, gdzie smutek i depresja stanowiła domenę. Codzienne samobójstwa na porządku

dziennym. Byłem także w miejscu, gdzie z kolei pycha i wyższość były obiektem eksperymentów. Jednak nigdzie nie widziałem takiego chaosu jak tutaj. Podpalone barykady, wściekłe twarze. Małe dzieci o śniadej karnacji rzucały w samochód Winstona różnymi przedmiotami. Teraz zrozumiałem, dlaczego jego samochód był już na początku taki poobijany. Jednak takie miejsce doskonale nadawało się na kryjówkę Ocalałych. Wśród tego chaosu, łatwo było się gdzieś zaszyć. A może to był tylko pozorny chaos?

Goldstein gwałtownie zatrzymał się przed starym blokiem, który wyglądał raczej jak jakiś squat niż miejsce, w którym ktokolwiek mógłby się zadomowić. Ruchem głowy dał mi sygnał, że wysiadamy. Otworzyłem drzwi i szybkim krokiem skierowałem się ku drzwiom szarego budynku. Nagle, kompletnie nieoczekiwanie, poczułem ból w ramieniu. Racjonalną decyzją w tym momencie byłoby przyspieszenie i ucieczka, jednak odruchowo popatrzyłem się za siebie. Ujrzałem staruszkę, która wyglądała jakby była w jakimś obłądzie. Jej skóra przypominała papirus. Paznokcie i dłonie wyglądały jak szpony. Dopiero gdy ujrzałem jej długie paznokcie, zdałem sobie sprawę, że wbiła mi je w ramię i krwawiłem już od kilkunastu sekund.

- Kurwa! - krzyknąłem. Za coś takiego byłbym już podejrzany w dystrykcie szczęścia.

W tym samym momencie ciało „czarownicy” zadrgało, a uścisk zelżał. Pozostał jedynie grymas wściekłości. Wyglądała jak opętana. Czy to był jeden z Ich eksperymentów? Głos Winstona wyrwał mnie z bezruchu.

- Szybko! - krzyknął. Trzymał w ręku nowoczesny paralizator wysyłający wiązki energii. Skąd mieli takie przedmioty? Nie było jednak na to czasu. Pobiegłem w stronę Goldsteina, starając się jednocześnie zatamować krwawienie.

Gdy dobiegłem do drzwi, Winston złapał mnie za ramię i pociągnął w swoją stronę. Posłał mi przyjazne spojrzenie i przykucał. Następnie wyjął paralizator i przyłożył do startej plandeki. Nagle w całym pomieszczeniu rozbrzmiał dziwny dźwięk. Przypominał mi ostrzegawczy sygnał w razie zagrożenia nuklearnego, tylko że ten był o wiele cichszy. Momentalnie wszystko ucichło i kłapa sama się otworzyła.

*

Znalazłem się w miejscu kompletnie innym niż stary blok wzięty niczym z radzieckiego socrealizmu. Pod kłapą znajdował się miniświat, którego nigdy nie spodziewałbym się znaleźć w dystrykcie nienawiści. Szedłem za Winstonem szerokimi korytarzami, których ściany wyłożone były jakimś rzadkim metalem. Z odgałęzień pograżonych w ciemnościach wyłaniały się różne postacie. Zarówno ludzie w podeszłym wieku, jak i kilkuletnie dzieci. Wszyscy szeptali między sobą. O czym? Zastanawiałem się w głębi, próbując łączyć poszczególne urywki zdań. Co jakiś czas przewijało się moje imię i nazwisko, miałem wrażenie, że oni wszyscy wiedzieli, kim jestem. Kiedy przybędę i w jakim celu także. Korytarze wypełniły się światłem, a kobiecy głos oznajmił przez głośniki, że wszystko jest pod kontrolą i bezpieczeństwo zostało zapewnione. Postacie jednak pozostały na swoim miejscu, nie zamierzały się nigdzie ruszać. Patrzyłem na twarze ludzi i widziałem w nich nadzieję. Po co ja tu przybyłem? Jakie Ocalali mieli wobec mnie plany?

- Teraz wsiądziesz do windy. Wciśniesz -4 i następnie skierujesz się w prawo. Potem prosto aż do drzwi. Tam dowiesz się, co masz robić dalej. Miło było się z Tobą w końcu spotkać, William. Żałuję, że nie mogliśmy pogadać, jak za starych, dobrych czasów. Życzę Ci powodzenia. Niech Bóg trzyma Cię w opiece.

Bóg? Być może Goldstein chciał być złośliwy. Na pewno pamiętał jeszcze z lat naszej młodości, że byłem ateistą. Nie wierzyłem w żaden absolut. Dziś wydawało się to być jeszcze bardziej pogłębione. Pożegnałem się z Winstonem uściskiem i skierowałem się w kierunku windy. -4. Najniższy poziom. O co w tym wszystkim chodziło? Chcą mnie w jakiś wykorzystać? Moją wiedzę? Przecież aktualnie jest ona nic nie warta. Na nic im się to nie przyda. Czasami coś pisywałem, ale były to zwykłe wypociny nikomu niepotrzebne. Od czasów inwazji nie byłem w stanie wyciągnąć z siebie nic konstruktywnego. Ktoś mógłby nazwać to moralnym upadkiem. Zgodziłem się z tym w stu procentach. Nie widziałem sensu w niczym, moja egzystencja była zwykłą roślinnością.

Miła Pani poinformowała mnie przez mały głośniczek, że dotarłem. A więc wychodzę i idę naprzeciw swojemu przeznaczeniu. Przeznaczeniu? Raczej jako marionetka, której wyznaczono określone zadania. I ktoś mną porusza, a ja nie mogę nic z tym zrobić. Teoretycznie mogę, a praktycznie nie.

Skręciłem tak jak mówił Winston. Przede mną stały ciężkie, stalowe drzwi. Obok znajdował się mały przycisk. Pewnie coś w rodzaju dzwonka. Wcisnąłem go. Po kilku sekundach drzwi otworzyły się i przede mną stanęła starsza, niska kobieta. Ktoś na początku pomyślałby, że ot, zwykła starsza kobieta po 50, która raczej szuka spokoju niżli nowych doświadczeń. Jednak przyglądając się jej bliżej, można było zauważyć błysk w jej oczach, które kryły niespożytą energię i chęć do działania. Do tego wyniosły wyraz twarzy. Podała mi rękę bez słowa i uściśnęła. Czuć było siłę.

- W końcu się widzimy, Panie Cordis. Lub Alfredzie Rand, nie wiem, które imię i nazwisko Pan woli. Ja nazywam się Elizabeth. Nasze nazwiska nie są istotne. Żyjemy w takich czasach, że lepiej znać tylko imiona. Myślę, że Pan rozumie. Zresztą każdy z członków Stowarzyszenia Ocalałych funkcjonuje pod innym imieniem i nazwiskiem. To też na pewno Pan wie. - rozpoczęła. Z jej głosu biła pewność siebie i niezależność. - Do moich zadań należy nadzór i kontrola strefy bezpieczeństwa Ocalałych, w której aktualnie Pan się znajduje. Proszę wejść, rzadko gościmy tak ważne osobistości. Chcę Pana poznać z resztą Rady Nadzorczej. - dokończyła.

Razem weszliśmy do środka przestronnego pokoju. Na środku znajdował się duży, okrągły, wykonany z mahoniu stół. Siedziało przy nim dwóch starszych, mężczyzn w wieku podobnym do Elizabeth. Gdy mnie ujrzeni, szybko wstali i ukłonili się. Spojrzałem milcząco na przywódczynię Ocalałych. Skinęła głową i wszyscy razem usiedliśmy przy stole. W pokoju znajdowały się różne dziwne przyrządy i maszyny, których nigdy w życiu nie widziałem. Być może to miejsce służyło kiedyś jako schron. Jedna z maszyn przykuła szczególnie moją uwagę. Na ekranie można było zobaczyć obszary, na których zaznaczone były różnymi kolorami punkty. Strefy oddzielone były granicami.

- Ach, widzę, że przyglądasz się naszej nawigacji. Tak, to dzięki niej znaleźliśmy Cię. Kolory oznaczają stopień pewności co do tego, czy określona osoba jeszcze żyje lub funkcjonuje. Zielony oznacza, że osoba ta na pewno żyje wśród członków Konstruktów. Czerwony, że najprawdopodobniej została przez nich zabrana. Pewnie zastanawiasz się, co robią z takimi jak my. Z informacji pozyskiwanych przez nasz quasi wywiad wynika, że dokonuje się eksperymentów, które mają wykazać co konkretnie warunkuje rozwój i powstawanie wybitnych jednostek. Brzmi trochę jak niemieckie eksperymenty na ludziach, czyż nie? - zapytała Elizabeth. Nie powiedziała nic zaskakującego, tego właściwie się spodziewałem. Pranie mózgu, eksperymenty. Tylko co dalej? - Uprzedzając pytanie – wykorzystywani są w środkach badawczych. Wcześniej tracą

całą swoją tożsamość i ostatecznie stają się chodzącymi robotami z zaprogramowanymi w mózgu rozkazami. Taki los czekał prawdopodobnie i Ciebie. Natomiast do tej pory zastanawiamy się, w jaki dokładnie sposób Oni działają. Prawdopodobnie posługują się czymś w rodzaju psychokinezy i za pomocą określonych fal oddziałują na umysły ludzi. Coś w rodzaju umiejętności psionicznych, które kiedyś uważane były za wymysły parapsychologii. Dalej jednak nie wiemy, dlaczego nie są w stanie oddziaływać na Ocalałych. Nie każdy z członków Konstruktów ma wszczepiony chip i większość nie została poddana „resocjalizacji”. A jednak my ulegamy dopiero po odpowiednich zmianach w naszych mózgach, które mogą zostać tylko wykonane, gdy zostaniemy zaprowadzeni do Centrów Kierowniczych Konstruktów. Cały czas badamy te zależności i próbujemy odkryć, co determinuje tę uległość. - podsumowała.

- Po co to wszystko? Te badania, analizy? Przecież to jest już koniec. Zachowywanie pewnej kultury i świadomości może ma jeszcze jakiś sens. Jednak nie jesteśmy w stanie stawić czoła wyższym istotom. Jako ludzkość powinniśmy się pogodzić, że tak jak my kiedyś zyskaliśmy władzę nad naturą, tak teraz przybył bardziej rozwinięty gatunek i to on stworzył sobie z nas rezerwat. Jesteśmy jak zwierzęta w klatce, nasza pycha w końcu zaprowadziła nas ku przepaści. To jest już koniec, musicie to zrozumieć. Tak jak kiedyś upadały wielkie imperia i powstawały nowe, które zyskiwały władzę i zabawiały się zacofaniem podbitych ludów, tak i teraz Oni bawią się nami. Jesteśmy obiektem eksperymentów, niższymi istotami, których zadaniem jest usługiwanie. Coś się kończy, coś się zaczyna. Nasz czas dobiegł końca. - ostro zakończyłem. Jednak ich twarze nie wyrażały praktycznie nic. Tak jakby spodziewali się mojej reakcji.

- Bóg wyznaczył każdemu określoną rolę. Jesteśmy stworzeniami boskimi, dzięki Stworzycielowi istniejemy i naszym zadaniem jest realizować jego wolę. Nadchodzi Apokalipsa i jako ludzie musimy zrealizować powierzone nam zadania. To my jesteśmy wybranymi boskimi, to ludzie są istotami stworzonymi na podobieństwo Pana. Szatan poprzez tych, których nazywamy Elohim, chce zniszczyć ludzi. To jego największe przedsięwzięcie. Upadły Anioł chce zniszczyć dzieło Pana. Ty jesteś wybranym, Williamie. Pomazańcem Bożym. Widziałam to, Duch Święty nawiedził mnie kilka lat temu. Dlatego to wszystko stworzyliśmy, dlatego ratujemy Ocalałych. Tobie też wyznaczono zadanie. - przemówiła drżącym głosem. Nie mogę to uwierzyć. Co tu się dzieje, czy to jakiś ponury żart? Przecież to niemożliwe. Przez jakiś czas miałem kontakt z organizacjami, które ocalały i zachowały świadomość. Nikt nie mówił mi o żadnym fanatycznym stowarzyszeniu, które gromadzi Ocalałych.

- Nie mamy o czym rozmawiać, Elizabeth. Dalsza dyskusja nie ma nawet sensu. Nie zgadzamy się przy fundamentalnych kwestiach. Nie ma Boga i nigdy nie było. Tak uważam przynajmniej ja. I nie chcę uczestniczyć w tej całej farsie. Powinienem już pójść. Wolę zostać pojmany i zaprowadzony do gabinetu. Niech zrobią ze mnie warzywo. Nie chcę uczestniczyć w żadnym fanatyzmie. Miło było mi Was poznać. Żegnam.

Odwrociłem się. I cały świat spłynął mi przed oczyma.

Omega

-Żyje?

- Na pewno. On ma raka mózgu, Winston. W zaawansowanym stadium. To giejak.

- Ale jak to możliwe? Przecież obserwowaliśmy go od dawna. Nic się z nim nie działo, chodził normalnie do pracy, zachowywał naturalny tryb życia.

- Nowotwory czasami uaktywniają się nagle. Wszystko zależy od człowieka, nie ma na to żadnej reguły. Teraz nadszedł moment.

- Nie powinienem tego mówić, ale może stało się dobrze. Teraz już nie będzie miał żadnego wyboru. Musi wypełnić misję. Tak chciał widocznie Bóg. Zatem nic nam do tego.

Cały czas słucham. Nie otwieram oczu, bo nie chcę się ujawnić. Nie ma już po co. To koniec. Teraz będę umierał powoli, w męczarniach. Chce mi się palić. Prędzej spodziewałbym się raka płuc. Cóż za paradoks, nigdy nie bolała mnie głowa. Zawsze byłem pod tym względem zdrowy. I nagle okazało się, że mam raka. Zaczynam rozumieć, co czuli Ci wszyscy ludzie, o których tak często pisano w gazetach. Śmierć dla nowoczesnego człowieka stała się w pewnym sensie codziennością. Portale informacyjne codziennie karmiły społeczeństwo straszliwymi doniesieniami. Gdy umierała jedna osoba, parę osób, to była wielka tragedia. Jednak gdy dotyczyło to kilku tysięcy, stanowiło to po prostu statystykę. Był to jeden z elementów postępującej dehumanizacji. Ludzie karmili się czyjąś śmiercią i teoretycznie byli do niej przyzwyczajeni. Praktycznie dla nowoczesnych społeczeństw realna śmierć, zabójstwo było pewną egzotyczną ciekawostką. Zdarzało się niezwykle rzadko. Jednak gdy w końcu do tego dochodziło, wszyscy byli niebywale zaskoczeni. Opanowywała ich bierność. Połączenie zaniku wrażliwości na czyjąś śmierć z kompletnym brakiem porady sobie w stanie zagrożenia skutkowało stopniową dehumanizacją. Zanikały nasze podstawowe, ewolucyjne cechy. Może dlatego właśnie nie potrafiliśmy poradzić z nadejściem „Elohim”? Dość. Czas wstać. Muszę zapalić, naprawdę już nie wytrzymam. Dajcie mi papierosy.

Otwieram oczy. Widzę pochyloną nade mną młodą kobietę w białym fartuchu. Blondynka o ładnej, symetrycznej twarzy. Oczy zielone. Gdy zobaczyła, że otworzyłem oczy, kiwnęła po prostu głową.

- Obudził się.

Z boku pokoju, który służył prawdopodobnie jako gabinet, siedział Goldstein. Patrzył się na mnie.

- Dobrze, że żyjesz, William. Martwiliśmy się o Ciebie. Jednak Bóg ma Cię w opiece i wszystko skończyło się dobrze. Niestety musimy porozmawiać. Mam dla Ciebie parę wieści. - zakończył gorzko.

- Tak, wiem. Słyszałem. Pan Bóg bardzo się mną opiekuje i zdecydował się, że nagrodzi mnie w niezwykle wyrafinowany sposób. Winszuję mu, naprawdę ma klasę. Ile zostało mi życia? 6 miesięcy?

- Kilka tygodni. - odpowiedziała krótko młoda kobieta. - Teoretycznie istnieje możliwość wyleczenia. Tutaj nie mamy wystarczających środków i narzędzi, by usunąć nowotwór. Można jednak je zdobyć w szpitalach Konstrukt. Oczywiście kosztem tego stracisz swoją tożsamość. Myślę, że wiesz dlaczego.

- Wie. Oni tak już Ciebie szukają William. Nie uciekniesz, to kwestia czasu. Masz więc wybór – albo wypełnisz swoje zadanie, albo oddamy Cię w Ich ręce. Musimy to zrobić,

inaczej nasz schron zostanie zniszczony. Nie możemy narażać dobra wszystkim w imię jednej osoby. - skończył zimno Winston. Na jego twarzy malował się całkowity spokój. Patrzył się na mnie przeszywającym wzrokiem. - Nie oszukasz przeznaczenia. Każdy z nas ma wyznaczone zadanie.

- Jakie zadanie? Przecież sam powiedziałaś, że nic już nie może mnie ocalić.

- Nie powiedzieli Ci? Pewnie nie zdążyli. Twoim zadaniem będzie wysadzenie jednego z punktów łączących telepatycznie Elohim z dystryktem nienawiści. Od kilku dni znajduje się tutaj jeden z Nich. To jedyna szansa.

- Ale jak to wysadzić? Co masz na myśli? - zapytałem zaskoczony.

- Wysadzić siebie, Cordis. Tak jak kiedyś czynili to wyznawcy Allaha. Nie ma innego wyjścia. To ma być akt oddania i pokazania naszej siły. Jesteś ikoną dla Ocalałych. Tutaj traktuje się Ciebie jak świętego. Rozumiesz?

Nie wierzę w to, co słyszę. Mam być niczym ja Chrystus odkupujący winy całej ludzkości. Rzadko miałem styczność ze zjawiskiem fanatyzmu. Teraz już wiem, jak potrafi to prac mózg. Bardziej skutecznie niż sam Konstrukt. Nie mam jednak wyboru. Na razie chcę zapalić. Najlepiej Camele.

- Macie jakieś papierosy?- spytałem z nadzieją. Dziewczyna uśmiechnęła się i wyjęła z kieszeni paczkę czerwonych Marlboro. - Proszę, rozumiem sytuację. Badając Ciebie, dokonałam prześwietlenia. Masz szczęście, przy takim stanie płuc już dawno powinieneś nie żyć. A Twój oddech jest w normie.

- Ale głowa niestety nie. - odwzajemniłem uśmiech i sięgnąłem po papierosa. Czasami życie bywa piękne. Chyba powinienem stać się na jakiś czas stoikiem. Nic już mi i tak nie pozostało, a możliwość spojrzenia na świat z innej perspektywy pozostawała dosyć kusząca. - Mam na imię Eleonora. Miło mi poznać. - podała mi rękę, a następnie wyciągnęła zapalniczkę. Razem zapaliliśmy.

- Pałacy lekarz, fanatyczni wyznawcy jakiegoś abstrakcyjnego bytu i ja w roli Chrystusa. Czy to nie jest groteskowe, Winstonie? Źle wybraliście. Nie nadaję się do tej roli, jestem raczej błaznem.

- Ty tak naprawdę nie wiesz, kim jesteś, William. Wierzę, że w głębi zdajesz sobie sprawę ze swoich błędów i złych czynów. Czas, abyś w końcu je odkupił. To najlepszy moment. - odpowiedział sucho.

- Wspaniała analiza mojej osobowości. Czy Freud znajduje się w obowiązkowych lekturach Ocalałych? Nie mam wyboru. Mogę to zrobić. Ale nie gwarantuję.

- Nie musisz nic gwarantować. Do bomby elektromagnetycznej wgrana została nawigacja i czujnik, który zadziała tylko w konkretnym miejscu. Nie wysadzisz się gdzie indziej. Ponadto będziesz miał ograniczony czas. Kilka godzin, prawdopodobnie 5. Wtedy zostanie uruchomiony alarm i policjanci Konstruktowi od razu Cię wyczują. Niezależnie od tego, czy podejmiesz decyzję o ucieczce, czy też odmówisz wypełnienia zadania, i tak zostaniesz oddany w ich ręce. Daję Ci godzinę do namysłu.

Winston wstał spokojnie i nie odwracając się, wyszedł.

Zostałem sam na sam z młodą Eleonorą. Patrzyła się na mnie analitycznym wzrokiem. Jakby badała w jakichś sposób moje wnętrze. Gabinet był wypełniony przeróżnymi narzędziami chirurgicznymi. Miejsce było brudne, dziwnie pachniało stęchlizną. Nie było to zachęcające, czuć było tutaj śmierć. Jakby wielu takich jak ja było tu wcześniej. Oni jednak nie mieli tyle szczęścia co ja. Chociaż w mojej sytuacji być może szybka śmierć byłaby o wiele lepszym rozwiązaniem.

- Czy Wy naprawdę w to wszystko wierzycie? – zapytałem młodą dziewczyną. Razem

skończyliśmy papierosa i zgasiliśmy niedopałki na popielniczce. Spojrzała się na mnie ciekawym wzrokiem i spytała: - A czy Pańskie zachowanie to pewna maska, czy jest Pan taki naprawdę?

- Nie odpowiada się pytaniem na pytanie. Jednak doceniam analogię. Jeśli zatem Pani nie wierzy w to wszystko i tak naprawdę przyjmuje pewną pozę to po co to wszystko? Nie lepiej byłoby oddać się w ręce Elohim?

- Nie każdy przyjmuje taki punkt widzenia, Panie Cordis. Jestem lekarzem i moim zadaniem jest pomoc ludziom. Nawet w tak obrzydliwych warunkach, jak te. - popatrzyła się przez chwilę na brudne narzędzia chirurgiczne. - Mimo wszystko warto mieć jakieś cele, nawet w takich czasach, jakie nastały. Natomiast środki służące do realizacji takich celów to inna sprawa. Wolę pomagać ludziom niż przeprowadzać na nich zabiegi, których głównym celem jest podporządkowanie ich świadomości Konstruktorowi. Nigdy nie była zwolenniczką zabiegów mających swe korzenie w lobotomii. Co do mojej religijności i fanatyzmu. Oba wskaźniki znajdują się na poziomie zerowym. Nie wierzę w żadnych Bogów i oni to doskonale rozumieją. Jestem tu, gdyż nie ma innych osób, które mogłyby wypełniać moje zadania. Świadomych osób. - zakończyła spokojnie.

- Idee przestały być częścią mojego życia. Może jestem już na to za stary.

- Chcę tylko powiedzieć, że nic Pan nie musi. To Twój wybór, Williamie. Może w głębi sam pragniesz pewnego uświęcenia? Każdy z nas skrycie tego by chciał. To naturalny mechanizm psychologiczny. Być w centrum uwagi. Zrobić coś, co będzie ceniona społeczność. Do tego jedyna ta świadoma... Czyż nie jest to kuszące? Może dlatego fanatycy tak często wysadzali się w imię Allaha?

Nigdy nie lubiłem, gdy ktoś grzebał w mojej osobowości. Myślę, że nikt tego nie chce. Ujawnienia skrywanego przed samym sobą kompleksów i pragnień. Jednak to wszystko było udziałem w moim przypadku. Ja już nic nie chcę. Nic mi nie pozostało.

- Przepraszam, ale muszę wyjść. Mam do zbadania parę bliźniaków. Zostawię Panu papierosy, a Pan niech ochłonie i odpocznie. - dodała spokojnie i położyła Marlboro na brązowej szafce obok mojego łóżka. Uśmiechnęła się nieznacznie w moim kierunku i wyszła z pokoju.

Teraz mam czas tylko i wyłącznie dla siebie. Zawsze jest jakiś wybór, ale decyzję mogę podjąć w trakcie. Powiem Winstonowi, że decyduję się wyruszyć. Co będzie dalej – zobaczymy. Zostało mi mało czasu, mało życia. Wszystko mi ucieka. Chcę ujrzeć jak najwięcej, poczuć jak najwięcej. Niesamowite uczucie. Nienawidzić tego świata, zastanej rzeczywistości i jednocześnie pragnąć jeszcze pozostać tu na chwilę. Syndrom sztokholmski?

Moje rozmyślenia zostały przerwane przez wejście Elizabeth i Winstona. Spojrzeli na mnie pustym wzrokiem. Dlaczego ludzie, których pobłogosławił Bóg, są tak zimni? Może to tylko moje osobiste wrażenie. Religijne stowarzyszenia i ugrupowania zawsze mnie w pewien sposób odstraszały.

- Podjąłeś już decyzję? - spytała Elizabeth.

- Tak, pomogę Wam. Odegram rolę Chrystusa ludzkości. Najlepiej jak potrafię. - odpowiedziałem ironicznie.

- To nam wystarczy. A teraz ubieraj się i wstawaj. Nie mamy czasu. Środki przeciwbólowe zostaną podane później. Poczekamy na Ciebie na zewnątrz- odpowiedział. Wstając, usłyszałem od Elizabeth – Podjąłeś właściwą decyzję. Będziemy się za Ciebie modlić, Williamie. Bóg czeka na Ciebie po drugiej stronie. Nasza walka ma sens. - dodała. Oboje jednocześnie się odwrócili i wyszli. Zacząłem się ubierać i zbierać swoje rzeczy.

Zabrałem ze sobą paczkę papierosów i wyjąłem jednego. Eleonorze i tak już się nie przydadzą, a dla mnie mogą stanowić ratunek przed zawahaniem się w odpowiednim momencie.

Wstałem i nie zastanawiając się dłużej, wyszedłem z pokoju. Poczułem ostry ból w tyle głowy. Leki przeciwbólowe jednak się przydadzą, powinienem się o nie upomnieć w razie czego. Korytarz był bardzo dobrze oświetlony, zauważyłem żarówki LED. Czyżby wstępnym objawem glejaka był światłowstręt? To dosyć ciekawe przeżycie, nigdy wcześniej nie miałem problemów z bólami głowy. Teraz wiem już co czuła moja matka, gdy prześladowała ją nieustępliwa migrena.

- A więc jesteś. Dobrze, teraz pójdziemy do pokoju obok. Dostaniesz środki przeciwbólowe. Odpowiednią ilość, tak aby starczyły na całą wędrówkę. - zagadnął Winston. Poszedłem w kierunku miejsca, które mi wskazał. Poczułem zimno i woń śmierci. Czy gdzieś tu niedaleko nie znajdowało się przypadkiem prosektorium? Wszedłem do pomieszczenia. Oślepiła mnie biel. Wszędzie stały półki z różnymi lekami i tabletkami. W momencie wejścia, od razu w moją stronę odwróciła się Eleonora i ponownie uśmiechnęła się nieznacznie. Jej uśmiech był w pewien sposób pociągający, zwracał uwagę.

-W końcu jesteś. Dobrze, teraz podam Ci parę leków przeciwbólowych. I oczywiście coś ekstra, jeśli chcesz. Brałeś kiedyś psychotropy? Oczywiście nie dam Ci prawdziwych narkotyków, aczkolwiek trudno zdefiniować pojęcie „narkotyk”. Kiedyś amfetamina służyła jako lek, na pewno słyszałeś. Podam Ci leki psychotropowe. Zwykle służą do celów terapeutycznych, zresztą Tobie też mogą w pewien sposób pomóc. Twoja „wędrówka” może przyjąć przecież wymiar terapeutyczny, czyż nie? - zapytała ironicznie. Wciąż się zastanawiałem, co ona robi w tym schronie. Kompletnie nie pasowała do tego miejsca, czyniła jawne aluzje nawet przy Winstonie. Czy cała ta akcja to przypadkiem nie jakaś zaplanowana farsa? Zbiorowy żart? Nie miało to większego sensu z racjonalnego punktu widzenia. Po co mieliby to robić? Ale po co również wysyłałoby na samobójczą misję? Obie wersje były pozbawione sensu.

- Chcesz, żebym się naćpał? Nie dojdę nawet do wyznaczonego miejsca.

- Oczywiście, że nie. Na pewno uzależnisz się po jednej dawce. Efekt nie zdąży nawet minąć, gdy wykonasz już swoje zadanie. Chcę Ci pomóc, William. Wiem, jak się czujesz. Wydano na Ciebie wyrok śmierci od ręki i nie masz żadnej drogi ucieczki. Nie masz już wyjścia. Tak, mówiłam, że zawsze jest jakaś możliwość. Ale chcę uśmierzyć Twój ból. To, co mam Ci dać, nie różni się bardziej od leków, które podaję dzieciom umierającym z powodu chorób, które teoretycznie nie powinni już istnieć. Jednak rodzice nie chcą ich szczepić, nie pozwalają na ingerencję w „boży” plan. Zatem ja dokonuję ingerencji bez ich wiedzy. Lekarz powinien przede wszystkim leczyć i uśmierzać ból. To jest jego najważniejsze zadanie. Rozumiesz? - tym razem pytała poważnie. Ona nie wytrzymała w tym miejscu. Stała się w pewnym stopniu ofiarą tego religijnego fanatyzmu. Produktem ubocznym idealnego systemu, który ma uratować ludzkość. Cel uświęcając środki, niesie ze sobą także zniszczenie.

- Dobrze, rób co chcesz. Cały czas mam wrażenie, że to jakiś zbiorowy żart. A więc uśmierz mój ból, pozwól mi na chwilę o tym zapomnieć. - odpowiedziałem obojętnie.

- To nie jest żaden żart. Nikt nie snuje tu żadnej pseudointrygi. Ludzkość umiera, Stowarzyszenie Ocalałych miało na początku stanowić pewien podziemny ruch, którego zadaniem pierwotnie była walka z „okupantem” i wyzwolenie ludzi spod jarzma Elohim. Niestety brakowało motywacji, brakowało swoistej inspiracji i celu, który miałby zapewnić pewne profity. Nasza przywódczyni, bo tak naprawdę nią jest Elizabeth, doznała w

pewnym momencie objawienia. Według niej odwiedził ją sam Duch Święty i szepnął do ledwie funkcjonującego ucha, że potrzeba poświęcenia jednostki. To stworzy efekt domina i ten desperacki akt jednostki obudzi wszystkich z długotrwałego letargu. Brakowało jednak ochotnika, osoby idealnie spełniającej tę koncepcję. Padło na Ciebie. Twoje prace i książki od początku były inspiracją. Nie wiem, co się z Tobą stało, nie wiem jak dzisiaj na to wszystko patrzysz, ale z Twojej prozy bije prawdziwy idealizm, który na pewno może kogoś zainspirować. Tak, czytałam prawie wszystkie Twoje prace. Bardzo mnie zaciekały i chciałam Cię poznać. Okazało się, że jesteś inny. Bliższy mi. Intrygujesz mnie, Williamie. Ale nie w tym rzecz. Moim zdaniem cały ten system został starannie zaplanowany przez Elizabeth. Nie wiem, czy ona dalej w to wierzy. Ale to niemożliwe, aby z dnia na dzień stała się inną osobą. W takie rzeczy nie wierzę. Bardziej skłaniam się ku wersji, iż wszystko zostało zorganizowane tak, aby zmobilizować ludzi. A taką funkcję pełniła między innymi religia. Nie ma jednak co zagłębiać się w jakieś pseudoanalizy. Stałeś się mesjaszem, Williamie. Masz odkupić grzechu ludzkości. Twoja ofiara ma poruszyć wszystkich i rozbudzić w Ocalałych chęć działania. - skończyła ironicznie. A więc tak skończę swoje życie. Wsadzenie się może ma jednak większy sens niż symboliczne samospalenie rodem z Wietnamu. Ludzie od zawsze poszukiwali sensu, moja reakcja i myśli są naturalne. Nie muszę już się ich wyrzekać i wstydić.

- Zakończmy ten temat. Porozmawiajmy lepiej o lekach. Powinienem wiedzieć, kiedy mam się spodziewać potencjalnych skutków działania i do którego momentu będą się utrzymywały.

- Właśnie, leki. Dostaniesz zwykłe leki przeciwbólowe, a jeśli chodzi o psychotropowe to będzie to xanax. Jego działanie? Przede wszystkim zmniejszenie objawów lękowych. Preparat, hamując aktywność neuronalną mózgu, likwiduje uczucie lęku, obniża napięcie nerwowe, rozluźnia mięśnie i działa nasennie. Tylko to ostatnie zostanie zneutralizowane przez konkretne leki. No i jeszcze jeden -Propranolol. Jego działanie jest podobne, tyle że może wywoływać sny i halucynacje. Też zaczyna działać po kilku godzinach, średnio po 1 lub 2. To wszystko ma Cię rozluźnić i powstrzymać ewentualne objawy gwałtowności. Oczywiście to leki służące do psychoterapii, ale nie będziesz miał raczej możliwości uzależnienia się od nich. Posłużą jako otucha w ostatnich chwilach życia. Pięknie ujęte, czyż nie?- uśmiechnęła się złośliwie.

- Dlaczego tak skrzętnie się mną opiekujesz? Mesjasz przecież nie potrzebuje anioła stróża. - odpowiedziałem. Dobry humor powracał. Oby ten stan utrzymywał się jak najdłużej. Eleonora podeszła białej szafki i wyjęła specyfiki. Podała mi szklankę wody i po kolei podawała mi środki.

- To tyle. Mam nadzieję, że to wszystko jakoś Ci pomoże. Taka mieszanka może być wybuchowa, ale myślę, że nie zdążysz odczuć skutków ubocznych.

- Dziękuję Ci za pomoc. Mam nadzieję, że uda Ci się jakoś stąd wydostać. To nie miejsce dla Ciebie

- Tym razem się mylisz, William. To jest idealne miejsce dla mnie. Potrzebuję takiego azylu. Chcę zachować świadomość. Życzę Ci powodzenia. Może kiedyś spotkamy się tam, na górze. Jeśli cokolwiek takiego istnieje. - odpowiedziała. Tym razem mówiła szczerze. Może sama skrycie wierzyła w to wszystko, co serwowano jej na co dzień. Czasami taka wiara w cokolwiek daje poczucie sensu, umożliwia jakiegokolwiek działanie.

- Żegnaj. Bardzo miło było poznać. Szkoda, że spotkaliśmy się w takich okolicznościach.

- stwierdziłem gorzko.

- Żegnaj. - odpowiedziała krótko i spuściła wzrok. Odwróciłem się i wyszedłem z pokoju. Czas na mnie.

*

Winston i Elizabeth rozmawiali o czymś po cichu. Korytarz był wyjątkowo rozświetlony. Różne postacie wędrowały od ściany do ściany. Widziałem niepełnosprawnych, dzieci chore na ospę wietrzną oraz zdeformowanych ludzi. Niektórzy sprawiali wrażenie chorych psychicznie. Gabinet Eleonory był dla nich nadzieją czy raczej środkiem, którego celem było zakończenie cierpień? Nie było czuć tutaj żadnej radości, żadnego boskiego pierwiastka. Panował wszechobecny smutek.

Napotkałem wzrok Winstona. Przerwał rozmowę i podszedł do mnie szybkim krokiem.

- Jesteś już gotowy. Teraz pojedziemy windą do mojej pracowni. - wskazał palcem stalowe drzwi. Razem ruszyliśmy. Po drodze obserwowałem ludzi. Zachowywali się jakby byli w jakimś kompletnym letargu. Wciąż się zastanawiałem się, czy jestem w szpitalu dla obłąkanych czy w schronie dla ludzi, którzy zachowali świadomość. W końcu weszliśmy do windy. Goldstein wcisnął -1 i zaczęliśmy jechać. Nie minęło parę minut i byliśmy na miejscu. Szybko. Pozwolił mi wyjść jako pierwszemu i zaprowadził mnie do małego, przytulnego biura. Wszędzie stały maszyny do produkcji różnych dziwnych narzędzi.

- Nie wiedziałem, że interesujesz się czymś w rodzaju inżynierii. - zagadnąłem.

- Nigdy się nie interesowałem prawdę mówiąc. Jeden z naszych naczelnich inżynierów zaszczerpił we mnie dryg konstruktora. Mini-bomba elektromagnetyczna, którą będziesz posiadał, została skonstruowana właśnie przez niego. Ja tylko pomagałem. Na razie się uczę, w przyszłości zamierzam konstruować razem z nim tego typu wynalazki. - uśmiechnął się w moim kierunku. - Jak widzisz, ludzie się zmieniają. Kiedyś nienawidziłem tego typu dziedzin. Nigdy mnie nie fascynowały nauki ścisłe.

- Mogę zapalić? - przypomniałem sobie, że w kieszeni mam jeszcze paczkę papierosów. Mój organizm domagał się nikotyny. Natychmiast.

- Tak, oczywiście. Sam nie palę i nie lubię tego smrodu, ale Tobie pozwalam. Jesteś uprzywilejowaną osobistością – zaśmiał się. No proszę, jak łatwo przyjąć za fakt dokonany czyjaś śmierć. Niebawem.

- Wspomniałeś, że zamierzasz w przyszłości konstruować więcej takich bomb. Planujecie pozyskiwać więcej mesjaszy? Myślałem, że jestem tym jedynym. - odgryzłem się.

- Nie bądź złośliwy, Williamie. Nie, nie planujemy. Nie jesteśmy wyznawcami Allaha. Wbrew pozorom. Planujemy sabotaże w różnych miejscach.

- Dobrze, przejdźmy do rzeczy. - odpowiedziałem. Już od początku męczyła mnie ta rozmowa. Winston bardzo się zmienił. Kiedyś uważałem go za jedną z niewielu osób, z którymi można się dogadać. Każdy ma taką osobę. Teraz zachowywał się, jak gdyby nie był prawdziwy. Jakiś podstawiony Goldstein.

- Rozsądna propozycja. - wstał i podszedł do dużego, czarnego kredensu. Po kilkunastu minutach szukania wyjął niewielką, jasnobrązową paczuszkę. - Tu znajduje się bomba. Nie możesz jej rozpakować, dopóki nie dotrzesz do punktu łączności. Dostaniesz tablet wraz ze zgraną mapą. Spokojnie, nie wykryją tego urządzenia. Nasi programiści o to zadbali.

Odkąd Elohim objęli władzę, świat stanął w miejscu. Jednak pewne urządzenia zostały zlikwidowane. Telefony i wszelkie aparaty, które zapewniały łączność między ludźmi, zostały zneutralizowane za pomocą silnym fal elektromagnetycznych. Łączność istniała,

ale była przez Nich ściśle kontrolowana. Dlatego, jeśli ktoś posiadał prywatne aparaty, istniało duże prawdopodobieństwo, iż zostanie wykryty, gdyż Konstrukt zakazywał używania tego typu urządzeń na własny użytek.

- Bomba uruchomi się automatycznie, gdy dotrę do punktu? - zapytałem się dla pewności.

- Dokładnie tak. Wracając do paczki – oczywiście, jeśli chcesz możesz ją otworzyć, ale szczerze nie radzę. Poza tym musimy Cię zaraz przebrać. Dostaniesz stare, zniszczone ubrania i zostaniesz obcięty na łyso. Zresztą podjęliśmy odpowiednie środki, abyś wpasował się w socjetę dystryktu nienawiści. Niedługo zauważysz efekty. **Póki co** – poczekaj tutaj. Pójdę po ubrania.

A więc mam mapę, zaraz dostanę strój i zostanę zgolony na łyso. Nie wiedziałem tylko co miał na myśli mówiąc o działaniu efektów. Cóż, przekonam się niedługo. Pozostaje czekać. Otworzyłem tableta i włączyłem mapę. Czekala na mnie droga przez zniszczone miasto. Nie wiem jak miałem się dostać do punktu łączności. Może dostanę, chociaż jakąś broń? Przecież oni mnie rozerwą na strzępy. Winston wszedł do pokoju z jakimiś czarnymi łachmanami i maszynką do strzyżenia. Wskazał mi krzesło.

- Siadaj tutaj. Na mapie oprócz drogi masz zaznaczone także punkty. Kolor czerwony. Tam możesz otrzymać wsparcie od stowarzyszeń związanych z naszym schronem. Jest nas więcej niż może się wydawać. Dostaniesz też pistolet, ale masz tylko siedem kul. Zakładamy, że nie będziesz zbyt wyróżniał się z tłumu. Teraz dawaj głowę. - Goldstein złapał mnie za włosy. Przechyliłem głowę i zamknąłem oczy. Czułem jak kosmyki moich włosów spadały mi na ramiona i szyję. Nigdy nie strzelałem, a teraz oprócz samego dotarcia na miejsce, prawdopodobnie będę jeszcze musiał użyć broni. Normalnie byłbym zestresowany i niezdolny do działania. Działo się jednak coś zupełnie innego. Leki psychotropowe chyba zaczynają działać. A więc droga krzyżowa przede mną. Muszę ją przemierzyć odpowiednio godnie. Upaść mogę, z mesjańską doktryną nie będzie się to przecież kłóciło.

- Przyniosłem też torbę – podniósł jakiś obszarpany, czarny worek. - Tu schowasz paczuszkę i resztę swoich bibelotów. Dorzuciłem jeszcze jedną paczkę papierosów i piółunówkę na odwagę. Może Ci się przyda – uśmiechnął się ironicznie.

Mam więc wszystko, co potrzeba. Lecę na psychotropach, w torbie papierosy i alkohol. Spakowany i przygotowany.

- Wszystko gotowe. Chodź ze mną, wyprowadzę Cię ze schronu. Po wyjściu z naszej kryjówki wszystko już należy tylko do Ciebie. - dodał. Wyszliśmy z pokoju i skierowaliśmy się do windy.

- Mogę zadać jeszcze jedno pytanie? - zapytałem.

- Oczywiście, masz jeszcze chwilę. - odpowiedział Goldstein i spojrzał się na mnie z ciekawym wzrokiem.

- Odpowiedz mi tak szczerze. O co tu chodzi? Co tu się stało? Przecież kiedyś byłeś zupełnie innym człowiekiem. - zapytałem i spojrzałem mu prosto w oczy.

- Każdy z nas się zmienia. Tylko od nas zależy to, czy w odpowiedniej chwili podniesiemy ciężar odpowiedzialności. Każdy z nas jest po części winny temu, co się stało. Jesteśmy winni za te cierpienia ludzkości. Dlatego też musimy odkupić swoje grzechy. A także innych. Każdy w pewnym sensie jest dzisiaj Chrystusem. Ty jesteś tylko jednym z wielu, William. – zakończył.

Nie mogłem uwierzyć w to, co słyszałem. Od zawsze bałem się fanatyzmu. Nigdy nie chciałem na niego trafić. Był monstrem, które w mojej opinii mogło w jednej chwili

zniszczyć cały dorobek cywilizacyjny ludzkości. A teraz sam stałem się ofiarą owego monstrum. Człowiek, który kiedyś stanowił autorytet społeczny dla moich kolegów i koleżanek stał się propagatorem jakiegoś mesjanizmu. Nie było już Chrystusa Narodów. Teraz był Chrystus Ludzkości.

- Żegnaj bracie. Oby Pan miał Cię w swej opiece – Winston uściśnął mnie na pożegnanie. Poszedłem korytarzem w kierunku wrót, przez które jeszcze niedawno wchodziłem.

*

Wyszedłem na zewnątrz. Było jasno, przyjechaliśmy, gdy była noc. W teorii, bo niebo zostało przysłonięte przez gęsty, czarny dym. Opuściłem stary, socrealistyczny blok mieszkalny. Z daleka było widać szalejący ogień. Barykady dalej się paliły. Dało się usłyszeć także strzały i okrzyki. Wyjąłem ze startej torby tablet i szybko włączyłem. Potrzebna jest mi mapa. Zauważyłem kilka punktów na szklanej powierzchni. Tam miałem otrzymać wsparcie w razie problemów. Sprawdziłem, czy mam broń. Czas ruszać, biorę na swe ramiona odpowiedzialność. Ruszyłem główną drogą.

Szedłem wśród szarych ruin. Wokół mnie żadnej żywej duszy. Musiał nastąpić jakiś atak bombowy. Być może eksperyment w tym miejscu wyszedł poza kontrolę.

Jeszcze niedawno zastanawiałem się jak Oni przeprowadzają eksperymenty. Analizując gazety, telewizję gdzie znajdowały się zmanipulowane kanały o podprogowym przekazie, zauważyłem, że status quo w teorii był zachowany. Świat miał funkcjonować jak dawniej. To była oczywiście teoria. W umysłach ludzi tworzona była prawdopodobnie pewnego rodzaju iluzja za pomocą psychokinezy. Do tego zmiany w mózgu, chipy. Jeśli umysł został zmanipulowany, to człowiek automatycznie kierował się do gmachu Konstruktu. Można było zatem dojść do wniosku, że państwa zostały podzielone na dystrykty. Co stało się z miejscami, gdzie trwała wojna, a organizm państwowy był bardzo chory – nie mam pojęcia. Cały fenomen tego chorego systemu polegał na totalnej dezinformacji i postępującej dehumanizacji. Ludzie, którzy pozostali świadomi, nie posiadali żadnej łączności i aby przetrwać musieli dostosować się do zasad panujących w Konstrukcie. Wszelkie próby pozyskania takich informacji kończyły się możliwością ujawnienia. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że jednak były miejsca, gdzie można było się ukryć i pozyskiwać informacje. Żałuję, że nie spytałem się ich wcześniej co wiedzą o Konstrukcie i działaniach „Elohim”. Te informacje i tak mi się nie przydadzą, ale cóż, ciekawość mi jeszcze pozostała. Jako jedna z niewielu rzeczy. Czuję, że leki i psychotropy zaczęły działać. Wstąpił we mnie spokój i rozluźnienie. Jednocześnie czuję każdą część mojego ciała. To było niezwykle doświadczenie. Kiedyś eksperymentowałem z marihuaną i LSD. Ale to, co czuję teraz, było zupełnie innym doświadczeniem. Nigdy zresztą nie przepadałem za narkotykami. Byłem człowiekiem, który łatwo się uzależniał. Na każdym kroku musiałem uważać. To uczucie całkowitej wolności i spokoju było w pewnym sensie piękne. Teraz nie pozostało mi już nic, jestem wolny jak ptak. A może jednak nie jestem? Być może Pan Bóg na mnie patrzy i obserwuje moje poczynania? Czyta w myślach? Na pewno Oni mnie śledzą, a ja przecież mam nie dać się złapać. Powoli zacząłem zbliżać się do budynków. Widziałem szare i czarne od sadzy bloki, a pośrodku płonące barykady.

Po dwóch stronach znajdowały się grupy ludzi. Nie było jednak podziału na białych i czarnych lub też śniadych. To nie była wojna rasowa i narodowościowa, która była niezwykle „popularna” tuż przed Ich przybyciem. To była czysta, skumulowana nienawiść, której wirus niszczył organizmy wszystkich, niezależnie od koloru skóry,

narodowości, wzrostu, poglądów. Elohim stworzyli sobie wspaniały obiekt badań. Obserwacja czystej, skumulowanej nienawiści. Badanie jej genezy i tego, co determinuje jej działanie. Zdecydowałem się podejść bliżej. Na ramieniu ludzi znajdujących się po lewej stronie, znajdowała się sześcioramienna gwiazda. Symbol. Spojrzałem na swoje prawe ramię. Do rękawa zniszczonej kurtki został przyszyty identyczny symbol. A więc już wiem, po której ze stron się znajduję. Kolejny ciekawy eksperyment. Nie była to więc czysta nienawiść. Zacząłem się zastanawiać, w jaki sposób umysłami ludzi zawładnęli w tym dystrykcie. Przecież tutaj wszczęcie chipów było niemożliwe.

- Ej Ty, do nas w tej chwili! Zaraz Cię zarzną idioto! - w moim kierunku zaczął krzyać młody chłopak z lewej strony barykady. Spojrzałem na niego obojętnie – No już, nie wykrzywiał tej mordy – zakrzyknął po raz kolejny tym razem pół żartem. Nie zrozumiałem, przecież nie wykrzywiałem twarzy w żaden sposób. Podbiegłem truchtem do chłopaka.

- Co się tu dzieje? - spytałem się zaskoczony.

- Jak to co? Masz broń? - zakrzyknął.

- Nie mam, zgubiłem jak uciekałem przed tamtymi. - skłamałem.

- No to spierdalaj stąd, zanim Cię zastrzelą! No już, szybko. Nie ma czasu. Zaraz się zacznie – zakrzyknął wzburzony.

Zobaczyłem jak moi „towarzysze” zaczęli tworzyć jakąś formację. Każdy z nich miał broń. Czyżby tamci mieli zamiar przedrzeć się przez barykadę? Zdecydowałem się jednak pójść dalej. Nie powinno mnie tu być, to nie moja walka. Schowałem się za jeden z mniejszych budynków i wyjąłem tablet. Mapa wyświetliła mi się od razu. Niedaleko znajdował się jeden z punktów. Na razie nie potrzebuję pomocy. Muszę się przede wszystkim zorientować, o co tu chodzi i jak mogę uniknąć potencjalnych zagrożeń. Jak już mam zginąć, to przynajmniej poprzez „godne” samobójstwo. Uśmiechnąłem się ironicznie pod nosem. Wyszedłem zza budynku i zacząłem iść na wprost. Nagle obraz zaczął mi się zamazywać i upadłem na kolana. Czułem jak wszystko mi się rozjeżdża. Po chwili wszystko minęło jak ręką odjął. Ujrzałem ponownie świat w normalnych barwach. Gdy próbowałem wstać, zauważyłem, że bok zaczął mi krwawić. Co się dzieje?

- Ej Ty, tutaj! - zawołał ktoś do mnie. Spojrzałem na dalsze wielkie blokowiska i zauważyłem oddalonego o około 100 metrów mężczyznę. Machał do mnie ręką i krzyczał z całych sił. O dziwo nie było mi trudno wstać, było to prostsze niż na początku mogłoby się wydawać. Leki działają świetnie, dzięki Eleonoro. Zacząłem biec w kierunku mężczyzny.

Musiałem przyspieszyć, gdyż zacząłem słyszeć krzyki w nieznanym mi języku. Po chwili zaczęły mi świstać pociski koło uszu. Gdy byłem już blisko, mężczyzna pochwycił mnie za ramię i wciągnął. Teraz mogłem go ujrzeć w pełni. Był niezwykle zarośnięty, cała broda i włosy były siwe. Skóra miała format papiirusu, była kompletnie zeschnięta. Był także cały brudny, a podarte łachmany składały się raczej na obraz leżącego już jakiś czas w grobowcu trupa niż żywego człowieka. Jego twarz była wykrzywiona w grymasie wściekłości, ale gdy przyciągnął mnie do siebie, jej wyraz zmienił się diametralnie.

- Udało Ci się! Niewiele brakowało. Wiesz, nie spodziewałem się tego. Myślałem, że nie zdążysz. Nie wiem jak to zrobiłeś, nieistotne. Chodź za mną. Opatrzmy Cię. Baal ma nas w opiece, nie pozwoli im wtargnąć do świętego miejsca.

Baal? Ten semicki bóg? Spojrzałem się za siebie. Postacie ubrane na czarno próbowały

wejść przez zniszczoną bramę, ale nagle pojawiła się jakaś niebieskawa bariera. Co tu się kurwa dzieje?

Zdecydowałem się na nie zadawanie głupich pytań. Jeszcze zorientuje się, że nie należę do jego „plemienia”.

- Zanim wejdziemy do naszej świątyni, pokłońmy się Baalowi. Wtedy będzie bardziej dla nas zrozumiałe. Panie, wiemy, że popełniamy błędy, ale sam przecież wiesz, że jesteśmy tylko małymi pchłami w obliczu Twojej potęgi. Zmiłuj się nad nami i przebacznemu biednemu przyjacielowi! - starzec spojrział w kierunku zniszczonego budynku, który miał być świątynią. Była to ruina wieżowca, praktycznie połowa budynku musiała zostać zburzona. Na samym szczycie znajdowała się wyrwa, ogromna dziura, nad którą znajdowała się jednak ta sama niebieska bariera, co przy bramie. Nie wiem co tu się działo, ale miałem pewne podejrzenia. Jeden z Elohim musiał zabawiać się w boga kosztem tych biednych ludzi. Kurwa, te eksperymenty są gorsze niż nazistowskie obozy koncentracyjne. Ci ludzie są jak jakieś pieprzone szczury doświadczalne.

- Chodź za mną, przyjacielu. - starzec pociągnął mnie za rękę i wprowadził do budynku. W środku panował półmrok. W miejscach po żarówkach znajdowały się małe świece.

- Ach, patrzysz na nasze świece opatrności! Tak, czcigodny Pan nie lubi niewidzialnej energii. Uważa, że jej nie potrzebujemy. Sam nią nas obdarza. Przy nim nie musimy się bać niczego i nikogo! - starzec emanował jakąś chora radością. Kolejny raz spotkałem się z fanatyzmem. Tylko ten był chyba już prawdziwy. To, co było w schronie, stanowiło tylko fasadę, która miała obudzić ludzi. Teraz rozumiałem Elizabeth. Ci ludzie mieli kompletnie wyprane mózgi. Nie dało się na to patrzeć.

Weszliśmy do rozświetlonego przez świece pokoju. Starzec podszedł do umywalki i dotknął tylko przycisku. Woda po prostu popłynęła. Pogrzebał w jakichś rzeczach, wyjął bandaż i szczypce.

- Woda w tej świątyni jest święta, wyleczy Twoje rany. Jednak najpierw musimy wyjąć z Twojego ciała przeklęty nabój. Te plugawe stwory zatrują swoją broń. Spójrz – rozchylił moją brudną koszulę. Rana nie tylko krwawiła. Skóra wokół niej zaczęła się robić czarna. Tak jakby ciało gniło w przyspieszonym tempie i obracało się stopniowo w proch. Starzec polał wodą moją ranę. Poczulem piekący ból, zacząłem się wykręcać. Po chwili wszystko minęło. Rana zaczęła się powoli goić. Szaro-czarna obwódka zniknęła.

- Już dobrze, już dobrze. Świat jest okrutny, ale Baal nad nami czuwa. Zawsze pomoże, gdy nie damy rady. Czy nie jest to piękne? - spytał rozmarzony. - A teraz musimy oddać cześć. Objął mnie ramieniem i wyprowadził z pokoju. Czekala mnie wędrownica ciemnym korytarzem. Z daleka widziałem światło. Weszliśmy na aulę. Popatrzyłem się po bokach. Kiedyś to miejsce prawdopodobnie służyło jako sala konferencyjna, jednak część ścian została wyburzonych. Spojrzałem w górę. Wyrwa w budynku była ogromna. Można było poczuć płynący chłód z zewnątrz. Niebieska poświata unosiła się nad budynkiem. Jednak najważniejsza część znajdowała się w samym centrum - wielki posąg przypominający humanoidalną istotę. Kojarzyło mi się to z bliskowschodnimi religiami. Asyria, dawni Semici. Teraz rozumiałem. To było właśnie meritum eksperymentu w dystrykcie nienawiści, czyli konflikt między stronnictwami. Zrazić do siebie dwie grupy nie jest wbrew pozorom trudno. Jednak aby ten konflikt mógł się dłużej utrzymywać, potrzeba jakieś symboliki, tożsamości, która zintegruje ludzi w danych grupach. Temu właśnie służyła symbolika, religia, która odwoływała się do kwestii religijno-etnicznych. Ludzie wyznający kult Baala nie musieli wiedzieć, jaka jest geneza tej nazwy, skąd wziął się symbol. On był antropologicznie zapisany w ich świadomości.

- Pokłonimy się Baalowi. - starzec upadł przed posągami na kolana. Zrobiłem to samo. Jednak obraz zaczął ponownie mi się zamazywać. Zamiast posągu stała teraz moja matka. Boże. Była ubrana w strój, w którym ujrzałem ją po raz ostatni. Długa, burgundowa suknia, czarne buty. Włosy spięte. I cierpiący wyraz twarzy.

- Mamo, co Ty tu robisz? - spytałem głupio. Przecież ona nie żyła od dawna. Ostatni raz, gdy ją widziałem, krztusiła się własnymi wymiocinami. To była zima, 12 lat temu. Tuż przed wigilią. Nafaszerowała się antydepresantami i zapiła to wódką. Nie zdążyłem jej uratować.

- Zatrzymaj się. Synu. Zawróć...- zwróciła się do mnie błagalnym głosem. Nie wiem co się tu działo. Poczulem smak płynących łez. Po chwili jednak oprzytomniałem. Chwała pieprzonym lekom. Ktoś bawi się moim umysłem, próbuje w niego wtargnąć. Niestety wybrał nieodpowiedni obraz. Nie potrafiłem kochać mojej matki. Niszczyła wszystko, co wpadło w jej ręce. Popatrzyłem się jeszcze raz w jej stronę. Znowu wszystko się zamazało. Miałem przed oczyma czarny obraz.

*

Obudziłem się na zewnątrz, przed niedoszłą świątynią. Starzec siedział przy mnie i mruzczył coś pod nosem. Nagle spojrzał się na mnie i uśmiechnął się.

- Żyjesz! Musiałeś wiele przeżyć, przyjacielu. Rana pewnie niedostatecznie się zagoiła. Mam coś dla Ciebie. - podał mi piersiówkę. Domyślałem się co to może być. Wziąłem łyka i poczułem jak pali mi się gardło. Mocne cholerstwo.

- Dziękuję. Jak się nazywasz? - odważyłem się zapytać.

- Symeon. A Ciebie jak zważę? - zwrócił się do mnie.

- William - powiedziałem. Kiwnął głową.

- Dokąd zmierzasz, Williamie?

- Wędruję. Chcę dojść do wielkiego punktu łączności. - odpowiedziałem enigmatycznie. - Wiesz może gdzie to jest? Muszę tam dotrzeć. Czuję, że mogę znaleźć to, czego szukam. Symeon spojrzał na mnie przerażony:

- Do Wielkiego Gmachu? Po co? Nie znajdziesz tam życia. Tylko śmierć. - odpowiedział zamyślony.

- Być może ona jest mi przeznaczona. Czuję, że muszę tam dotrzeć. - dodałem po cichu. Wyjąłem piotunówkę i wziąłem łyka. Podałem ją starcowi.

- Dziękuję, przyjacielu - uśmiechnął się i zaczął pić. Wypicie połowy butelki ponad 50% alkoholu zajęło mu tylko 15 sekund. Mocny skurwiel. - A więc nic nie może Cię powstrzymać?

- Nic. Czuję wewnętrzną potrzebą. - zacząłem wstawać.

- Poczekaj. Prosiłeś o pomoc. Pomogę Ci. Poniosę Twoje rzeczy. - dodał poważnie.

Zaskoczył mnie. Będę musiał go jakoś później zgubić. Nie chcę, aby inni cierpieli przeze mnie. To ja miałem siebie zabić.

- Dziękuję. Nie chcę jednak Cię zmuszać do podążania razem ze mną. Gdy powiedziałem Ci o moim celu podróży, nie wyglądałeś na zachwyconego.

- Nie mógłbym z Tobą iść cały czas. Ktoś musi dbać o przybytek Baala - spojrzał na świątynię - Jednak mogę chwilę ulżyć Ci w twych cierpieniach. - po czym chwycił moją torbę i przełożył sobie przez ramię. - Chodź za mną.

Wstałem i wyszliśmy z obrębu „świątyni”. Skręciliśmy w lewy zaułek. Zacząłem się bać, nie wiem, czy pójście za tym człowiekiem było odpowiednią decyzją. Miałem unikać takich sytuacji, nie wiem kim on tak naprawdę jest. Dobra, spokojnie. I tak przecież mam umrzeć. Dla mnie to nie ma znaczenia. Dla Ocalałych tak.

- Z której części miasta pochodzisz, Williamie? - zapytał nagle.

- Z południa. Stary blok, samotnie stojący wśród ruin. - odpowiedziałem.

- Po co kłamiesz, przyjacielu? - zapytał spokojnie. Można było się spodziewać, że mnie na tym złapie. Dostyc przewidywalne. Nie znam żadnych dzielnic.

- Mam swoje zadanie, Symeonie. Nie ważne jest już to, skąd pochodzę. Gdy dojdę do celu mojej podróży, zniknę bezpowrotnie i raczej nigdy się już nie spotkamy. Chciałeś szczerości, proszę bardzo. - odpowiedziałem spokojnie. W zasadzie to po co go oszukiwałem? Nic nie odpowiedział. Kroczyliśmy bez słowa przez mroczną uliczkę. Słyszałem ciche szepty ludzi siedzących z boku lub za brudnymi szybami prowizorycznych mieszkań. Było zbyt ciemno, nie byłem w stanie ujrzeć ich twarzy i sylwetek. Nie czułem jednak smutku, lecz zawiść i frustrację. Z tego tak naprawdę rodziła się prawdziwa nienawiść. Kompleksy, osobiste nierozwiązane problemy. Boska symbolika była tylko tłem, które nadawało sens i kierunek rodzącej się nienawiści. Spojrzałem się na Symeona. On był jednak wyjątkiem, zachowywał jakiś dziwny spokój. Wyszliśmy z uliczki na coś w rodzaju głównych ulic. Tutaj nie było już barykad, to był teren czcicieli Baala. Mimo wszystko trupy leżały w różnych miejscach. Większość nie wyglądała na zamordowanych. Musieli skonać na ulicy z głodu lub chorób, które jeszcze niedawno wydawały się w pełni zlikwidowane. Dystrykt nienawiści przypominał miejsce dotknięte apokalipsą. Poligon doświadczalny na żywych ludziach.

- Symeonie, czas odkryć karty. Przestań udawać. Widzę, że nie jesteś jednym z nich. Jak to jest, że jako jedyny w tym miejscu masz normalny wyraz twarzy? Że nie widać po Tobie nienawiści, tego wirusa, którym Elohim zarazili ludzi w dystrykcie? Co tu się dzieje do cholery?

- Śmierć i cały świat to kwestia akceptacji. Nie mamy wpływu na większość spraw, wiele zjawisk, które pojawiają się w niespodziewanych miejscach i wpływają na nasze życie są poza naszym zasięgiem. Nie możemy nic zrobić. Uprzedzając dalsze pytania – tak, jestem jednym z Ocalałych. I to dzięki mnie przeżyłeś konfrontację z psychokinezą. To nie leki, Williamie. To ja Ciebie podniosłem i wyniosłem z tej pogańskiej świątyni. Dziwi mnie tylko to, że dopiero teraz zdałeś sobie z tego sprawę. Jestem jednym z tych, którzy czekali na Ciebie.

- Na mojej mapie nie ma punktu wsparcia w miejscu, w którym się znajdowałeś. - odpowiedziałem szybko. Znowu ktoś bawił się moim kosztem.

- Dali Ci nawet mapę? Owszem, nie ma mnie tam. Ja pełnię bowiem inne zadanie. Mam być jednym z pionków Konstruktu. Oddaję siebie w imię Pana. Nie możemy zniszczyć Ich w normalny sposób. Musimy więc wśród nich działać. Zostałem wybrany, gdyż potrafię manipulować swoim umysłem. Trafiłeś na mnie przez przypadek, ale niech to będzie także dla Ciebie wskazówka i nauczka. Przeżywasz teraz resztę swojego życia w przyspieszonym tempie. Ocalali są wszędzie, Williamie. Widzimy Twoje ruchy i zachowania. Wiemy gdzie zmierzasz. Oddaliśmy siebie w imię wyzwolenia ludzkości. Wierzmy, że Twoje poświęcenie będzie początkiem rewolucji.- spojrzał mi prosto w oczy. - Muszę już wracać. Tutaj Cię pozostawiam, musisz iść prosto. Zresztą masz mapę. Życzę Ci powodzenia. Mam nadzieję, że kiedyś spotkamy się tam, na górze i porozmawiamy spokojnie i w normalnych okolicznościach. Żegnaj. - spojrzał na mnie spokojnie i zawrócił. Jego sylwetkę stopniowo pożerał mrok uliczki.

*

Są wszędzie. Gdy twórcy Konstruktu mnie nie śledzą, robią to Ocalali. Człowieka to istota, która nie może być wolna w pełni. Zawsze jest w jakiś sposób ograniczana – czy

to przez system, czy to przez innych. Spojrzałem na główną ulicę. Oprócz trupów wałęsali się także jacyś ludzie. Chociaż nie wiem, czy można by jeszcze przypisywać im ludzkie cechy. Otworzyłem mapę. Trzeba iść prosto, zgodnie z tym, co Symeon wcześniej powiedział. Na razie nie przebyłem nawet połowy drogi. W końcu ruszyłem. Pierwszy raz odkąd tutaj byłem, zobaczyłem jak słońce wychodzi zza chmur. Zaczęło mocno grzać i stało się jeszcze bardziej duszno niż wcześniej. Woń rozkładających się ciał stała się również intensywniejsza. Cholera, muszę jak najszybciej opuścić to miejsce. Popatrzyłem ponownie na mapę. Po drodze znajdował się jeden z punktów wsparcia, warto by skorzystać z okazji i tam zająć. Zdecydowane, pójdę tam i chociaż się posilę. Przydałyby się także jakieś bandaże i leki – wciąż nie byłem pewien czy Symeon mówił prawdę. Schowałem tabletki do torby i wyjąłem piołunówkę. Nie mogłem na to wszystko patrzeć. Kurwa, zawsze, gdy jakiś frazes pojawiał się w mojej głowie, to starałem się go rozłożyć na czynniki i udowodnić, że nie ma sensu się na nim w stu procentach opierać. Ale życie jest naprawdę niesprawiedliwe, te zagłodzone dzieci, których ciała stanowiły teraz pożywienie dla much i idealne miejsce na złożenie jaj, mogłyby żyć w szczęśliwej iluzji w innym dystrykcie. Nie wiem, w jaki sposób te skurwiele utrzymywały „porządek” w tej dzielnicy, nie wiem skąd brali więcej ludzi do eksperymentów. Wiem natomiast, że to jest po prostu nie do zaakceptowania. Może poświęcenie się w imię innych, nie jest wcale tak głupie? Być może ma to jakiś głębszy sens. Każdy musi mieć jakiś cel, nie można żyć bez żadnego sensu. Wziąłem kolejnego łyka piołunówki. To nie był zwykły alkohol, poczułem w ustach i w głowie zieloną wróżkę. Rzuciła na mnie swój czar. Ujrzałem młodą kobietę, która zaczęła iść mi naprzeciw. Zatrzymałem się w miejscu i zacząłem ją obserwować. Była piękna, kruczoczarne włosy rozlewały się na jej ramionach. Twarz była idealnie symetryczna, a piękne, jasnozielone oczy przeszywały na wskroś. Biała szata wyróżniała ją na tle całej ulicy. Skąd się tu wzięła? Powolnym krokiem zmierzała w moją stronę. Gdy znalazła się kilka metrów odległości ode mnie – wyjęła z bocznej kieszeni piękną, atlasową chustę. Podeszła bliżej i zaczęła ocierać moją twarz. Czułem jak mokry pot powoli zniknął. Zamknąłem oczy. Gdy je otworzyłem, nie było już nikogo. Zniknęła. To była najpiękniejsza kobieta, jaką spotkałem w życiu. A może nie była człowiekiem, lecz aniołem zesłanym przez Boga? Otrząsnąłem się z dziwnych myśli. Poszedłem prosto i skręciłem w boczną uliczkę, tak jak wskazywała mapa. Czułem się jak na jakimś narkotykowym haju. Traciłem powoli siły i w końcu upadłem na kolana. Próbowałem wstać, ale moje nogi odmawiały posłuszeństwa. Podniosłem głowę do góry i zobaczyłem małe dziecko. Chłopczyk, prawdopodobnie około 8 lat. Podał mi swoją rączkę. Próbowałem mu powiedzieć, aby uciekał, ale nie musiałem, pobiegł dalej i wparował do jakiegoś bocznego, prowizorycznego mieszkania. Stamtąd wybiegły kobiety i zaczęły mnie podnosić. Wprowadziły mnie do mieszkania i posadziły na starej, zniszczonej kanapie. Jestem w punkcie wsparcia.

- Przygotujcie wszystko- rozkazała najstarsza z nich. Chyba najstarsza, przed oczyma miałem zamazany obraz, nie byłem w stanie dostrzec jej twarzy w pełni.

- Ttttt...yyyyy- mamrotałem niezrozumiale. Jedna z kobiet przyniosła miskę. Wyrzygałem się.

- Podajcie glukozę, wodę, zestaw do infuzji i resztę leków- szorstko nakazała reszcie. To były chyba pielęgniarki. - Najważniejsze, że żyjesz – chyba się uśmiechnęła...- Zaraz dostaniesz odpowiednie leki i powinieneś szybko wrócić do wcześniejszego stanu. - dodała. Nagle poczułem ból w prawej ręce. Wbiły mi strzykawkę w żyłę. Siedziałem

sztynno i czekałem. Po 10 minutach poczułem stopniowy powrót do rzeczywistości. Wzrok nabrał ostrości. Ujrzałem przed sobą starszą kobietę, mniej więcej po 50. Była niezwykle majestatyczna mimo swojego wieku. Można było dostrzec przemijające piękno. Blond włosy, niebieskie oczy. Tylko broda była lekko wystająca. Obok niej stały dwie piękne brunetki, musiały być bliźniaczkami. Patrzyły się na mnie swoimi dużymi, piwnymi oczami i czekały na reakcję. Spojrzałem na nie i uśmiechnąłem się.

- Dziękuję Wam za pomoc – wykrztusiłem z siebie. - Gdyby nie ten młody chłopak, nie przeżyłbym.

- Jaki chłopak? - spytały zaskoczone. Ich wyrazy twarzy jasno pokazywały, że są szczerze. Nie było w tym żadnego fałszu.

- Małe dziecko. Gdy upadłem na ziemię i nie byłem w stanie wstać, pojawił się przede mną mały chłopczyk, który próbował mi pomóc. Potem pobiegł w Waszą stronę. - odpowiedziałem zdziwiony. Najstarsza pielęgniarka popatrzyła się w dal:

- Musiałeś mieć halucynacje. To częste przy kompletnym wyczerpaniu organizmu i zażyciu dużej ilości leków. - popatrzyła się tym razem w moją stronę. - Nie wiem kim jesteś, ale musisz na siebie uważać. Leki to żadne rozwiązanie, są trudno dostępne i nie warte zachodu. Jeśli potrzebujesz prawdziwej pomocy i chcesz zostać – mamy wolny pokój. Jesteśmy chętni pomagać każdemu w trudnej sytuacji. Jak masz na imię? - spojrzała na mnie przenikliwie.

- Nie mogę tu zostać. Nazywam się William Cordis, pseudonim Alfred Rand. Myślałem, że Goldstein i reszta Ocalałych już przekazała Wam informacje. Mam wysadzić się pod punktem łączności. Nie mogę tu zostać, muszę jak najszybciej tam dotrzeć. - odpowiedziałem spokojnie i odwzajemniłem spojrzenie pielęgniarki. Przemijająca piękność cofnęła się i usiadła na najbliższym krześle. Drżały jej ręce. Spojrzałem ukradkiem na młodsze pielęgniarki. Były przerażone. Nie rozumiałem ich reakcji. Przecież Rada Ocalałych musiała je, tak czy inaczej, poinformować.

- Od początku sprzeciwiałam się tym działaniom. Poświęcanie jakiegokolwiek życia jest czymś dla mnie niedopuszczalnym. Skazali Cię na śmierć i nie dali wyboru. Nie wszyscy są wyznawcami jednej doktryny, jednego, właściwego podejścia. My byliśmy tymi, które się wyłamały. - jej oczy stały się szklane – Nie byliśmy jedynymi. Wielu także się nie zgadzało. Jest więcej Ocalałych niż może się wydawać. Schrony znajdują się prawie w każdym dystrykcie. W niektórych jest to niemożliwe, ale zawsze znajdzie się te parę osób, które są gotowe się poświęcić na rzecz innych. Tutaj jest nas najwięcej, to naturalne. - pierwsze łzy popłynęły po jej twarzy. Pozostałe kobiety również zapłakały cicho. Nie był to głośny szloch, efektowny i pełen emocji. Był to cichy płacz, który wypływał wraz z wielkim żalem. Było im mnie żal. Spojrzałem na nie spokojnie, pierwszy raz w życiu czułem taką emocjonalną harmonię. Swoisty złoty środek. Spokój:

- Dziękuję Wam za wsparcie. Bardzo tego potrzebowałem, bez Was nie dałbym rady wstać. To, czego mam dokonać ciągle wydaje mi się bez sensu, mimo że spotykam po drodze niezwykłych ludzi i czuję coś w rodzaju przełomu. Jednak może taki jest właśnie mój sens? Może moja śmierć jest tym sensem, którego potrzebują inni. - spojrzałem na każdą z osobna – Jeszcze raz dziękuję. - dodałem. Zabrałem swoje rzeczy i spokojnym krokiem wyszedłem na zewnątrz.

*

Dzień zbliżał się ku końcowi. Nadchodziła noc. Jednak to był dopiero początek, wieczór był jedynie preludium do ostatecznego aktu - nocy. Wyjąłem piołunówkę z torby i wziąłem kolejnego łyka. Nie zostało mi dużo czasu. Muszę dotrzeć do punktu jak

najszybciej. Ponownie wyjąłem tablet. Przebyłem już ponad połowę drogi, co było dla mnie niebywałym zaskoczeniem. Pamiętam, że zanim ujrzałem tę piękną kobietę, która ocierała mi twarz, także sprawdzałem mapę. Wtedy nie przebyłem nawet połowy drogi. Mniejsza o to, im szybciej tym lepiej. A może jednak nie?

- Kurwaaaa! - nagle usłyszałem wściekły głos jakiegoś młodego mężczyzny. Odwróciłem się i zobaczyłem jak łysy chłopak biegnie w moim kierunku. Zacząłem się cofać coraz szybciej. Zdażył uderzyć mnie tylko z bara i krzyknąć wściekle – Oni nadchodząaaa! - To mi wystarczyło w zupełności. Zacząłem biec i szukać wzrokiem jakiejś bocznej uliczki. Musi gdzieś być. W końcu ujrzałem ją po lewej stronie. Pobiegłem szybko i już praktycznie wpadałem w ramiona ciemności, gdy nagle poczułem ostry ból promieniujący ze stóp i kostek. Padłem jak długi i ledwo się wczołgałem. Odwróciłem się. Na szczęście mnie nie zauważyli, cholera. Podniosłem się całym ciałem i spojrzałem na stopy. Trafiłem na kolczasty drut, co oznaczało, że albo kiedyś była tu założona pułapka, albo właśnie w nią wpadłem. Usłyszałem głosy:

- Ha, jednak ktoś wpadł, Jamie. Mamy w końcu coś świeżego. Warto się mnie słuchać, wiedz na przyszłość. A teraz chodź ze mną i zrób to tak, jak Cię uczyłem, hahahaha – zaśmiał się głośno mężczyzna. Jego głos był tubalny i niski.

- Już idę – odpowiedział drugi, niechętny głos.

Leżałem na ziemi i nie wiedziałem co robić. Pierwsza myśl – pierdolona torba i bomba. Muszę ratować chociaż to. Wziąłem torbę i wyrzuciłem tak, aby znalazła się przy krawędzi wyjścia uliczki. Z tej odległości nie była widoczna. A teraz niech robią, co chcą. Muszę tylko przeżyć i się stąd wydostać. Odwróciłem się.

- Kogo my tu mamy. Kolejny śmieć. Masz cokolwiek? - starszy mężczyzna, którego rozpoznałem po tubalnym głosie podszedł pewnym krokiem i zaczął mnie obmacywać. - Kurwa, chyba nic nie ma. - zerwał ze mnie mocnym pociągnięciem stary płaszcz i zaczął przeszukiwać kieszenie. Znalazł piotunówkę. - A jednak! Zobaczy Jimmy, złapaliśmy pijaczka. Przykro mi przyjacielu, nam się to przyda bardziej niż Tobie. Rozumiesz, dobór naturalny. Słabsi przegrywają a lepsi zwyciężają. A teraz czas na resztę rzeczy. - pociągnął mnie mocno za pokrwawione nogi i zabrał stare buty. Chłopak o imieniu Jimmy podszedł do mnie i bez ostrzeżenia podniósł moje ręce i zdjął koszulę. - Mimo wszystko jesteśmy dobrymi ludźmi. Jesteś nic nie wartym i oszczędzimy Twoje nędzne życie. Możesz czuć się ułaskawiony, śmieciu. - dodał ze złośliwym uśmiechem młody chłopak. Obaj odwrócili się i poszli w stronę opuszczonego mieszkania. Dzień niesamowitej dobroci. Zostałem praktycznie bez niczego. Wstałem ostatkami sił i kulejąc poszedłem w stronę wyjścia uliczki. Podniosłem torbę, przełożyłem przez ramię i obrałem kurs na wprost. Droga teraz jest już prosta. To nieistotne jak będę wyglądał, gdy umrę. To czy umierasz w Ferrari, czy starym, nic nie wartym Fordzie nie ma żadnego znaczenia. Śmierć ma jedno oblicze niezależne od osiągnięć, „wartości” człowieka i jego pochodzenia. Każdego traktuje równo. Mnie także potraktuje w ten sam sposób. Początkowy ból, który czułem, gdy wpadłem na druty, zaczął mijać. Leki i alkohol wszystko skutecznie tłumili. Stałem w miejscu i zacząłem oglądać swoje ciało. Byłem cholernie brudny i przepocony. Musiałem porządnie śmierdzieć. A więc tak mógł wyglądać Chrystus. Obdarty, zniszczony i zmieszany z błotem. W drodze po zbawienie tych, którzy wyrządzili mu krzywdy.

*

Spojrzałem przed siebie. Widać już ten długi i największy budynek. Jedyne porządnie

zbudowany wśród gruzów i zgliszczy, osłaniany przez niebieskawą barierę. Podjąłem szybki krok. Z daleka zacząłem słyszeć dziwne odgłosy, jak gdyby były wymieszane ze sobą. Pod budynkiem łączności musi być bardzo tłoczno, warto by skorzystać z okazji i wejść tam niepostrzeżenie. Resztę dopełni technologia Ocalałych.

Gdy zbliżałem się do „upragnionego” celu, zacząłem widzieć, że pod budynkiem łączności jest coś w rodzaju demonstracji. Dwie grupy ludzi, oddzielane od siebie przez „ochroniarzy” w czarnych quasi zbrojach. To przed nimi udało mi się uciec. Obie grupy obrzucały się wszystkim, czym tylko można było. W końcu usłyszałem strzały i cała ochrona się załamała. Dwie chmary ludzi rzuciły się na siebie i stały się jedną, wielką, różnobarwną masą. Gdy to zobaczyłem, zacząłem biec. Wychodziło mi to nędznie, bólu nie czułem, ale pułapka zrobiła swoje. Mimo wszystko dałem radę wystarczająco przyspieszyć. Dopiero teraz ból zaczął do mnie docierać. Był jednak idealnie stłumiony. W końcu dotarłem do tłumu. Dzieliło mnie od tych ludzi tylko 50 metrów. Ochroniarze byli zajęci pacyfikacją i wyłapywaniem poszczególnych osób i wsadzaniem do szarych samochodów. Po lewej stronie zauważyłem pewną lukę. Tam dam radę się wbić i potem już zostanie mi tylko dotarcie do drzwi. Poszedłem w kierunku luki i starałem się nie spuszczać jej z oczu. Nie patrz gdzie indziej, nie próbuj nawiązywać kontaktu wzrokowego z tymi ludźmi, wyczują Cię i się rzucą. Nie miałem nawet żadnego symbolu, który przyporządkowywał mnie do określonego „plemienia”. Ubrania przecież straciłem. Udało mi się jednak wbić w lukę i przejść za plecami tłumu ludzi z lewej strony. Zacząłem czuć jak inni łapią mnie za ramiona i próbują wciągnąć, a to w jedną, a to w drugą stronę. Słyszałem krzyki i głosy. Nie próbowałem się wsłuchiwać, ostatecznie udało mi się stamtąd wyrwać. Upadłem na beton. Ludzie przestali się mną interesować, teraz tylko niedaleko znajdowała się ciężarówka. Jeden z ochroniarzy mnie zauważył i zaczął mi się uważnie przyglądać. Spojrzałem mu prosto w oczy i wytrzymałem jego wzrok przez kilka minut. On wie. Szybko się podniosłem i mimo coraz bardziej intensywnego bólu zacząłem biec w kierunku drzwi. Byłem coraz bliżej, ale on mnie doganiał. Załadował broń i zaczął strzelać. Kilka pierwszych strzałów zdołałem uniknąć, ale laser mnie w końcu trafił. Nie czułem prawej ręki. To już było nieistotne, ostatkami sił wparowałem do budynku. W tej samej chwili, gdy wbiegłem, w moją stronę odwróciła się dziwna istota, która nie przypominała niczego, co mógłbym kiedykolwiek widzieć. Nie poczułem nic.

*

Stali na szczycie budynku i obserwowali wybuch z daleka. Poczuli podmuch fali uderzeniowej, ale to ich nie było w stanie wzruszyć. Najwyższy budynek w dystrykcie nienawiści właśnie został zniszczony. Bariera i łączność psychokinetyczna łącząca dzielnicę z Elohim właśnie została zerwana. Jeden z nich prawdopodobnie nie żyje. Winston wyjął z kieszeni papierosa i z lekkim uśmiechem na ustach zapalił. Wiadomość została przed chwilą wysłana prawie wszystkim Ocalałym, z którymi był jakikolwiek kontakt. To wszystko jest tylko początkiem. Spojrzał na Elizabeth, która stała niewzruszona jak zawsze. Jej kamienna twarz wydawała się nie wyrażać nic. Jednak w głębi czuła ulgę i radość – w końcu się udało. Obok nich stała kobieta. Była cała blada, a po jej twarzy spływały łzy.